



motylewnosie.pl



Nie
ten
mężczyzna

Agnieszka Kowalska-Bojar

Nie
ten
mężczyzna

SERIA SEKSOWNI DRANIE

Agnieszka Kowalska-Bojar

Nie
ten
mężczyzna

www.motylewnosie.pl

Poznań 2021

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar
Wydanie I
Poznań 2021

Książka ISBN 978-83-66821-01-9
Ebook pdf ISBN 978-83-66821-02-6
Ebook epub ISBN 978-83-66821-03-3
Ebook mobi ISBN 978-83-66821-04-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejszej pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Skład i łamanie
Wielogłoska Katarzyna Mróz-Jaskuła, www.wielogloska.pl

Wydawnictwo
motyleWnosie
motylewnosie@gmail.com

Nasze ebooki i książki kupisz na stronie
www.motylewnosie.pl
www.sklep.motylewnosie.pl

*Tacy jak my są skuteczni i najlepsi,
dopóki są samotni. Obarczeni balastem uczuć,
stajemy się bezbronni, bo pojawia się strach
nie o własne życie,
ale o życie tych, których kochamy.*

Dom zastał otwarty.

Wszedł do środka i rozejrzał się, ubierając skórzane rękawiczki. Wnętrze było umeblowane skromnie, bez zbędnych luksusów. Drewniane podłogi, przybrudzona biel ścian, na nich kolorowe reprodukcje znanych dzieł sztuki, podniszczone meble. Nic, co przykuwałoby uwagę.

Nic, prócz ciemnoczerwonych śladów.

Pierwsze ciało znalazł na środku salonu. Kobieta, młoda, o złotorudych włosach zlepionych krwią. Twarz miała tak zmasakrowaną, że niepodobna było rozróżnić, gdzie kiedyś był nos, a gdzie usta. Nie musiał sprawdzać, by wiedzieć, iż zginęła kilka godzin temu. Minął ją i znalazł się w wąskim korytarzyku. Tam znalazł drugą ofiarę, także kobietę, skuloną w pozycji embrionalnej. Ta została zadźgana nożem. Zabójca zrobił to tyle razy, że całe ciało wyglądało niczym sito, z którego wypływały czerwone strużki zakrzepłej już teraz krwi. Tutaj także nie musiał się upewniać.

Nie podobało mu się to, co widział, ale bynajmniej nie z powodu martwych, bestialsko zamordowanych kobiet czy wszechobecnej czerwieni. Ta była wszędzie, nawet na suficie. Nie podobało mu się, bo nie cierpiał bałaganu, zwłaszcza takiego, który miał posprzątać.

Cóż, takie zlecenie, pomyślał zniesmaczony, sięgając po baniak z benzyną i nagle zamarł, bo jedno z ciał drgnęło.

Czyżby ktoś przeżył masakrę?

Podszedł bliżej i wtedy przekonał się, że wrażenie było słuszne. Dziewczyna, w zasadzie jeszcze dziecko, młoda, zbyt młoda, która nie powinna się tutaj znaleźć. Pewnie dziwka albo ćpunka, bo ten psychopatyczny maniak właśnie z takimi się zabawiał. Bezdomnymi, samotnymi, porzuconymi, o których mało kto pamiętał.

Z trudem uniosła głowę. Twarz miała zakrwawioną, opuchniętą od uderzeń. Liczne rany po nożu, który szalencie wbijał w nią z upodobaniem. Jednego oka w ogóle nie było widać, w drugim dostrzegł niemą prośbę. Rozpaczliwe błaganie o litość. Otworzyła usta i wtedy zauważył powybijane, połamane zęby. Co dziwniejsze, nawet teraz, w takim stanie, wydawała się piękna.

– Ludzka wola przetrwania mnie zdumiewa – mruknął Jacob, po czym wyjął broń i strzelił dziewczynie prosto w głowę. Wtedy dobiegł go odgłos policyjnych syren. Zaskoczony uniosł brwi, lecz nie stracił zimnej krwi. Nie wyprowadziło go to z równowagi. Wyraz jego twarzy ani przez sekundę nie uległ zmianie, z ust nie padło nawet ciche przekleństwo. Schował broń, wyjął zapalniczkę i już po chwili wyskoczył przez jedno z okien na tyłach budynku. Za jego plecami rozpętało się ogniste piekło, ale Jacob czuł niezadowolenie, bo płomienie miały strawić dowody zbrodni zanim ktokolwiek się zjawi. Tymczasem istniało spore prawdopodobieństwo, że straż zdąży dotrzeć na czas.

Jednak to nie możliwość zdemaskowania i naprowadzenia na swój trop policji martwiły Jacoba. Czuł rozgoryczenie, bo nie lubił niedokończonych akcji. Nawet tak głupich, jak ta, która uwłaczała jego godności, marnując wrodzone zdolności.

On był stworzony do zabijania, a nie niańczenia porąbanych psychopatów.

Wykrzywił usta, wsiadając do zaparkowanego na uboczu auta. Dostrzegł, że zaczął padać śnieg. To nie był zaskakujący fakt, bo pogodynka już od tygodnia zapowiadała zimę stulecia.

Czas na niego, tutaj już nic więcej nie działa.

Nie miał ochoty na kolejne spotkanie ze zleceniodawcą, zresztą podłożył ogień zgodnie z wytycznymi. O strzelaniu do straży pożarnej nie było mowy, więc Jacob odrobinę się rozluźnił.

Tylko raz przeprowadził akcję, która zakończyła się fiaskiem. To nauczyło go planować, sprawdzać, trzymać nerwy na wodzy. Był dokładny i skrupulatny aż do szaleństwa, opany i bezlitosny, bo tego wymagał ten fach. Niczego już nie zostawiał przypadkowi. Nikogo już nie żałował. Świat i tak był przeludniony, więc dlaczego nie ulżyć mu w cierpieniu? W dodatku znakomicie na tym zarabiając.

Kącki jego ust drgnęły, jakby mężczyzna zamierzał się uśmiechnąć. W jasnoblękitnych i zimnych jak lód oczach ukazała się odrobina rozbawienia. Nie z powodu zadania, które wykonał, ale tego, jakie na niego czekało. Prawdziwe zlecenie dla zabójcy, nie to, co teraz. Nie był przecież sprzątaczką, a zadanie przyjął ulegając prośbie najlepszego klienta. To był porządny człowiek, zawsze regulował rachunki na czas, nigdy nie zalecał brutalności, a jedynie czystą, fachową robotę. Wyjątkiem było podpalenie chaty na przedmieściach, bo jego głupawemu, rozpuszczonemu synalkowi czasami odbijało.

Jacob ze względu na stałą współpracę obiecał posprzątać po mordercy i zrobił to na swój sposób. W swoim fachu czuł się niczym bóg, nigdy nie miał żadnych wątpliwości czy zastrzeżeń. Już dawno stwierdził, że zabijanie stanowiło sens jego życia. Dobrze zaplanowanego życia.

Jedno zlecenie na kwartał. Był wybredny, byle czego nie brał. Seks cztery razy w roku, zawsze w ten sam dzień. Za każdym razem wymyślał coś nowego, czego jeszcze nie robił. Próbował wszystkiego, a ostatnio nawet rozmyślał nad orgią z udziałem biseksualnych mężczyzn. Mogłoby być ciekawie, zwłaszcza dla kogoś takiego jak on, kto już próbował tak wielu atrakcji, że całkiem zwyczajny seks wzbudzał w nim jedynie politowanie.

Cóż, wszystko było dla ludzi. Żadnych ograniczeń, bo te istniały jedynie w pospolitych umysłach. A on do takich siebie nie zaliczał.

Srebrzysty samochód mknął drogą, a śnieg padał coraz mocniej, białą kurtyną zasłaniając cały świat. Wycieraczki z trudem nadażały, ale Jacob ani trochę się nie przejął. Najwyżej przenocuje w pierwszym napotkanym hotelu. Zresztą, od mieszkania w Budapeszcie dzieliło go tak wiele kilometrów, że był wręcz zmuszony do postoju. Z Wilna do stolicy Węgier było ponad tysiąc kilometrów, a jazda w takich warunkach nie należała ani do łatwych, ani do przyjemnych. Zwłaszcza gdy ktoś tak jak on, unikał głównych tras, poruszając się tymi mniej uczęszczanymi.

Po przekroczeniu polskiej granicy warunki nie tylko się pogorszyły, ale i trafił na gigantyczny korek. Widać gdzieś musiał zdarzyć się wypadek. Jacob przez chwilę rozmyślał nad możliwościami ominięcia zatoru, po czym zdecydował się skrócić w boczną, mało uczęszczaną drogę. Popijając zimną już kawę, którą kupił w przydrożnym barze, przebiegał się przez coraz większe zasy, z niezadowoleniem myśląc o swojej decyzji. Tylko że on nie miał w zwyczaju się poddawać i właśnie dlatego nie zawrócił.

Nie przyspieszał, nie irytował się, parł jedynie do przodu, ze spokojem, który cechował go przez całe życie. Nadciągała noc, ale nawet ten fakt go nie zdenerwował. Pewnie prędzej czy później dotarłby co celu, gdyby nie złośliwy los w postaci jelenia, który niespodziewanie wybiegł na drogę. Jacob co prawda zareagował prawidłowo, ale nie do końca wziął pod uwagę stan nawierzchni. Samochodem szarpnęło, po czym pojazd gwałtownie skręcił w prawo i wpadł prosto w głęboki, przydrożny rów.

Być może zapięty pas ocalił Jacobowi życie, a z pewnością zaoszczędził wielu nieprzyjemności, lecz nie wyszedł z wypadku tak zupełnie bez szwanku. Po wydostaniu się na zewnątrz, okazało się, że ucierpiała lewa noga. Ignorując ból, obejrzał ją dokładnie i dopiero wtedy pozwolił sobie na okazanie odrobiny irytacji. Może nie była złamana, ale na pewno nie nadawała się na długie, piesze wędrówki. Tylko że w zasadzie nie miał wyjścia.

Ekran telefonu pokazywał brak sieci. Droga, co dało się zauważyć, nie należała do zbyt uczęszczanych. Zapadał zmrok, a śnieg sypał z coraz większą siłą. Temperatura gwałtownie spadała, a na dodatek zaczęło przenikliwie wiać.

Jacob ruszył przed siebie, zaciskając zęby i podpierając się znalezionym drągiem. Niezbyt przejął się swoim położeniem, zakładając, iż przeciwności są po to, aby je pokonać. Z każdego takiego starcia wychodził silniejszy i bardziej odporny. Dlatego teraz brnął przez śnieg, pod wiatr, kuląc się z zimna, lecz wciąż znakomicie panując nad własnym ciałem. Ktoś inny na jego miejscu, już dawno wpadłby w stan permanentnej paniki, płacząc i złorzecząc, ale nie Jacob. Z filozoficznym spokojem przyjął zaistniałą sytuację, obmyślając już plan na kolejne

zlecenie. Było trudne, ale jemu to nie przeszkadzało. Lubił wyzwania. Nie takie jak podpalenie domu z trupami, bo jakiegoś kretyna poniosły emocje.

Pewnie w końcu dotarłby do najbliższej miejscowości, bo północno-wschodnia Polska to nie było bezludne pustkowie, ale prócz niepokornego jelenia, los zgotował mu i inną niespodziankę. Kiedy Jacob, poruszając się wzdłuż pobocza drogi, znalazł się pod jednym z drzew, rozległ się potwornie głośny zgrzyt. W normalnych warunkach nie miałby problemu z uniknięciem katastrofy, bo prócz spokoju, cechował się niesłychanym refleksem, ale tym razem zawiodło słabe ciało. Mężczyzna potknął się, przewrócił i na samym końcu poczuł silne uderzenie.

A wtedy otoczył go mrok.



– Jaki ty jesteś zimny! Jak sopel lodu!

Głos był niezwykle melodyjny i z pewnością należał do kobiety. Dało się w nim wychwycić nutki rozbawienia i odrobinę pobłażliwości. Dziwna mieszanka, pomyślał, otwierając oczy.

Leżał pośrodku wąskiego korytarzyka, którego ściany pokrywała pociemniała ze starości boazeria.

Skrępowany, co wprawilo go w zaskoczenie.

Dłonie miał skute kajdankami, nogi związane sznurkiem. Ciało zdrętwiałe, zziębnięte, odzież przesiąkniętą wilgocią, bose stopy i od razu zorientował się, że kobieta musiała zabrać jego broń. Akurat ten fakt nieoczekiwanie go zirytował. Nie tolerował nikogo, kto sięgał po jego glocka, bo z bronią łączyło go coś w rodzaju pokrewieństwa. Krępowania kajdankami też

nie tolerował, ale myśląc logicznie, kobieta miała powód, aby tak postąpić.

– Oczy też masz zimne – mruknęła, pochylając się nad nim. Szczupłą, piegowaną twarz o trójkątnym podbródku otaczała burza rudych loków. Mały nosek był figlarnie zadarty, a kiedy niespodziewanie się uśmiechnęła, w policzkach ukazały się urocze dołeczki. Lecz nie tylko jej włosy miały kolor ognia. Dostrzegł go również w szarych oczach, przysłoniętych gęstą firanką ciemnych rzęs. – Przepraszam że cię skrzypowałam, ale sam rozumiesz. Mało kto nosi przy sobie broń i to takiego kalibru.

Miała rację. Był to wykonany na specjalne zamówienie pistolet maszynowy, glock z czterema pełnymi magazynkami. Do tego dwa skonstruowane zgodnie z najnowszą technologią tłumiki. Ponieważ lufa broni została wydłużona i nagwintowana, bez trudu można było nakręcić tłumik, a specjalne magazynki zawierały po trzydzieści trzy naboje, które wzmacniały potencjał w trybie ognia ciągłego do maksimum.

Była to broń, z którą Jacob się utożsamiał, tak samo jak on nieubłagana i skuteczna, służąca śmierci. Nawet kabura była do niej idealnie przystosowana, właśnie na glocka z wydłużonym magazynkiem, zaopatrzonego w tłumik. Jacob nie lubił hałasu, wolał działać cicho i szybko.

– Chyba że jesteś policjantem – dodała kobieta, z uwagą się w niego wpatrując. Na próżno, bo więcej emocji dostrzegłaby w kłodzie drewna.

– Nie jestem policjantem – nie przywykł do kłamstw. Prawda była mniej skomplikowana, zresztą, co złego było w noszeniu broni? Raczej nic. – Uwolnisz mnie?

– No nie wiem – głos miała pełen wątpliwości, spojrzenie niepewne, ostrożne. – A jak mnie zabijesz?

– Nie zabijam bez powodu.

– Też mi pocieszenie – zakpiła. – Dobrze, nogi uwolnię, bo ciężki jesteś panie Sopol. Ten akcent świadczy również, że pochodzisz z innego kraju, zgadłam?

– Węgry.

– A! No, widzisz! – Sprawnie przecięła sznurek krępujący jego kostki. – Zapraszam do mojego skromnego królestwa. Mam gorący piec kaflowy, może cię rozgrzeje? A ja w międzyczasie opatrzę ranę na głowie, bo ta gałąź całkiem nieźle ci przywaliła.

Nie widząc sensu w okazaniu sprzeciwu, posłusznie pokuśtykał za nią do kuchni.

– Noga także? – znacząco spojrzała w kierunku lewej stopy.

– Wypadek.

– Tak, widziałam samochód leżący w rowie – wskazała mu miejsce na krześle stojącym w pobliżu rozpalonego kominka. Pomieszczenie, w którym się znaleźli było jednocześnie kuchnią, salonem i jadalnią. Tutaj ściany były białe, a sufit tak niski, że Jacob bez problemu dotknąłby go ręką. Kuchnia, mocno rustykalna i naruszona w znaczącym stopniu zębem czasu, była pełna korzennych zapachów, a w oknach stały doniczki z ziołami. Kanapa w rogu miała przetarte obicia, a wszędzie, dosłownie wszędzie, leżały książki.

Jacob rozejrzał się z niechęcią. Przytulne, pełne chaosu wnętrza drażniły go i wprawiały w zły nastrój. Wolał beton, stal i kontrast czerni oraz bieli. Tutaj było zbyt pstrokato, zbyt ciepło, nawet w dosłownym rozumieniu tego słowa. Kobieta właśnie zdjęła puchatą kurtkę, zsunęła ciepłe śniegowce i ujmując się pod boki, stanęła naprzeciwko swego gościa.

– Czy ty jesteś w szoku, czy zawsze masz taką minę?

– Nie jestem w szoku.

– Kurczę? – zafrasowała się. – Jak mam zdjąć z ciebie płaszcz, skoro cię skułam?

– To proste, rozkuj mnie.

– Nie, jeszcze nie – oznajmiła, chwytając potężną, żeliwną patelnię. Bez problemu odgadł jej zamiary, a ciało dzięki długoletnim treningom zareagowało odruchowo.

– Zwariowałaś? – spytał z niesmakiem, odbierając zaskoczony kobiecie kuchenną broń. Pomimo skrępowanych nadgarstków, zrobił to tak zwinnie i szybko, że znieruchomiła zdumiona. Potem odłożył patelnię na kuchenny blat i z powrotem usiadł na krześle. – Już wolę się zgrzać niż zyskać kolejnego guza.

– Na pewno? – nieoczekiwanie się roześmiała. – No dobrze, niech ci będzie.

Z tylnej kieszeni spodni wyjęła kluczyk, a chwilę później Jacob rozcierał obolałe nadgarstki.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę. Ale broni ci nie zwrócę. Dostaniesz ją, jak już ruszysz w swoją stronę.

Uniósł lekko jedną brew, lecz nie odpowiedział. Patrzył za to, jak się krząta, jak parzy herbatę i wyjmuje z apteczki potrzebne akcesoria. Potem złapał się na tym, że gapi się również na rozłożyste biodra i krągłą, nawet zbyt krągłą pupę. W obcisłych dżinsach nasuwała niegrzeczne myśli, co wprawiło go w nieoczekiwaną złość. Żadne takie, zżymał się w duchu, upominając surowo sam siebie, iż termin kolejnego seksu przypada równo za dwa miesiące i dziesięć dni.

– Najpierw trzeba zmyć zaschniętą krew. – Stanęła tuż obok, lekko się pochylając. W rękę trzymała mokry ręcznik,

w skupieniu przekształcając swoje słowa w czyny. – Masz rozciętą skórę, ale żadnego siniaka. Gdybyś poczuł mdłości, zawroty głowy, będziemy mieć problem. Zima rozszalała się na całego, nie mam pojęcia, czy dałabym radę dojechać do najbliższego szpitala.

– Nic mi nie jest – powiedział, spoglądając w okno. Faktycznie, za wymalowaną w fikuśne, lodowe wzory szybą, niewiele dawało się dostrzec. – To tylko draśnięcie.

– Oby – westchnęła. Po czym chwyciła jego podbródek i uniosła w górę tak, że patrzył teraz prosto w szare, błyszczące rozbawieniem oczy. – Jestem Zuzanna, dla przyjaciół Zuzka. A ty?

– Jacob.

– Miło mi – kciukiem musnęła jego policzek, wywołując nieoczekiwany dreszcz w całym ciele. – Skąd się wzięłeś na tym zadupiu?

– Wracam do kraju. Na głównej drodze był wypadek, więc skręciłem w boczną...

– Głupio, bardzo głupio – potrząsnęła głową, a rude loki zawirowały dookoła jej twarzy. – Tutaj boczne drogi wiodą na manowce. Ale nie martw się, mam dobrze zaopatrzoną spiżarnię, dużo drewna na opał i wygodne łóżko.

– Łóżko? – Zmrużył oczy, bo nieoczekiwanie poczuł dziwne mrowienie w podbrzuszu.

– Dwa łóżka, a co myślałeś? – roześmiała się. I znów dostrzegł te dołeczki w policzkach.

– Nic, Zuzanno.

– Zuzanno? Jeszcze nie odtajałeś? – zakpiła. – Dobrze, zdejmuj spodnie, przyjrzymy się twojej nodze.

– Słucham?

– Jestem pielęgniarką, trochę się na tym znam, więc możesz mi zaufać. No dalej!

Posłusznie wstał, sięgając do rozporoka. Dziwnie się czuł, zsuwając spodnie pod baczny, nieco rozbawionym wzrokiem tej kobiety. Ciekawe, na początku myślał o niej w kategorii nastolatka, ale teraz już wiedział, że musiała być o wiele starsza. Świadczyła o tym siateczka drobniutkich, ledwo dostrzegalnych zmarszczek w kącikach oczu, pewna dojrzałość spojrzenia. Jacob dałby jej coś koło trzydziestu pięciu lat. Może więcej, na pewno nie mniej. Poza tym była typem, który nie przykułby jego spojrzenia w żadnej sytuacji. Średniego wzrostu, pełna krągłości, z tymi ognistorudymi włosami, piegowałą twarzą i oczyma, które wyrażały więcej niż słowa, była wręcz zaprzeczeniem jego ideału. Jacob preferował wysokie, szczupłe i zgrabne kobiety, o starannie dopracowanej twarzy, chłodnej urodzie i nienagannych manierach. Powściągliwe, dyskretne, opanowane. A ta tutaj była bardziej podobna iskrze, która właśnie wyskoczyła z paleniska i zaskwierczała na drewnianej podłodze.

– Wiesz co? – zamyśliła się. – Tam jest łazienka. Dam ci mój szlafrok, powinien pasować, a twoje ciuchy wysuszę, zgoda? Inaczej nabawisz się kataru albo czegoś gorszego.

Skinął głową, bo wilgotne ubranie dawało mu się we znaki. Zaraz potem skamieniał ze zgrozy, bo kobieta podała mu coś puszystego we wściekle różowym kolorze.

– To mam założyć? – spytał osłupiały.

– Nic innego nie mam. No dalej, to nie pokaz mody. – Pchnęła zaskoczonego Jacoba w stronę drzwi łazienki. Posłuchał, chociaż gdy złapał widok swego odbicia w lustrze, po raz pierwszy poczuł coś na kształt wściekłości.

Staął pośrodku niewielkiej łazienki, gdzie większość powierzchni zajmowała stara, żeliwna wanna na lwich łapach. Zamknął oczy, odetchnął. Okietznał gniew, spychając go głęboko w odmęty podświadomości. Najgorsze było to, że nie wydarzenia ostatnich godzin wyprowadziły go z równowagi, a ona. Zamyślił się. Może po prostu ją zabije? Co prawda rzadko robił to bez zlecenia, ale kilka razy się zdarzyło. Z drugiej strony pogoda za oknem i stan jego nogi wskazywały na to, że szybko nie opuści tego miejsca. Jacob rozważył argumenty za i przeciw, po czym uznał, że zaczeka. Kobieta mogła się przydać. Nie dla towarzystwa, bo on od zawsze wolał samotność, ale do innych, bardziej prozaicznych rzeczy.

Rozebrał się, a mokrą odzież starannie zawiesił na rozciągniętym nad wanną sznurze. Potem wytarł się do sucha i na samym końcu założył cudo w kolorze wściekłego różu.

– Nawet ci do twarzy – zakpiła, gdy milcząco, nieco zachmurzony Jacob pojawił się w kuchni. – Powinieneś częściej nosić coś w tym odcieniu.

– Powiniennem – odparł ze spokojem, siadając przy stole. – Poproszę herbatę. Mocną, czarną, bez cukru.

– Już zaparzyłam, ale ziołową. Mieszanka według własnej receptury.

Nie zaprotestował, chociaż nie cierpiał ziołowych herbatek.

– Będę cię częstować czym chata bogata – oświadczyła wspaniałomyślnie Zuza. – Mam wyśmienitą kawę. I suto zaopatrzoną spiżarnię. Bo coś mi się wydaje, że zagościsz u mnie kilka dni – wskazała za okno, a spojrzenie Jacoba powędrowało za ruchem jej dłoni.

– Będę wdzięczny.

Zuza zmrużyła oczy. Pan Sopol irytował ją tym nadnaturalnym spokojem. Niczym psychopata. Może niesłusznie go rozkuła? Może niepotrzebnie mu pomogła? Trzeba będzie na noc go skrępować, tak na wszelki wypadek.

Postawiła na stole dzbanek z herbatą i dwa kubki. Potem wróciła po resztę, kanapki, sałatkę i talerze. Krzątając, ukradkiem przyglądała się swemu gościowi. Był wysoki, nawet bardzo, ale szczupły. Żadne tam bary jak u zapaśnika czy bicepsy. Włosy miał jasne, w kolorze ciemnego złota, modnie ostrzyżone, twarz owalną, o regularnych rysach. Nos prosty, usta nieco zbyt wydatne. Nad górną wargą lekki ślad zarostu. Proste, stanowczo zarysowane brwi nad jasnymi oczyma w kolorze błękitu. Dawało się też dostrzec dołeczek w brodzie i malutki czarny punkcik na lewym płatk ucha, który okazał się miniaturowym kolczykiem. Mężczyzna sprawiał wrażenie niezwykle opanowanego, niedostępnego, chociaż już kilkakrotnie dostrzegła zalążki gniewu w jego oczach.

I był od niej młodszy, przypuszczała, że całkiem sporo. Siemdem, może więcej lat.

Przygryzła wargę, z ironią reagując na kierunek, w jakim podążały jej myśli. Co z tego, że był młodszy? Jakie to miało znaczenie? Zwłaszcza dla niej, kobiety, która od dawna nie wikała się w niezobowiązujące romanse. A jednak... Byli tu sami, odcięci od świata. Skazani na siebie, na swoje towarzystwo we wnętrzu niewielkiej chatki, przynajmniej na dwie doby. Szkoda, że nie trafił się jej ktoś starszy, dojrzalszy i bardziej otwarty.

– Noga mocno boli? – zagadnęła, siadając naprzeciwko milczącego gościa.

– Tak.

– Na moje oko to nie złamanie, ale rentgena w oczach nie mam.

– Wiem.

– Jesteś zmęczony?

– Nie bardzo.

– Rozumiem. Czyli zawsze bywasz tak towarzyski? – zakpiła, czym zasłużyła sobie na lekkie uniesienie brwi.

– Nie lubię strzępić języka.

– Tak, daje się to zauważyć. Dlaczego zboczyłeś z głównej drogi i to w taką pogodę? Nie lepiej było zaczekać, aż usuną zator?

– Nie lubię beczynności.

– Nie? – uniosła jasne brwi, popijając herbatę. – A może po prostu ci się spieszyło?

– To także.

– Do domu, do ukochanej, do dzieci?

– Nie. – W suchym, pozbawionym emocji głosie pojawiły się nutki zniecierpliwienia. Jacob nawet posunął się do tego, że zaklął w duchu. Czy to babsko może przestać mieć językiem? Może ją zastrze... Zaraz, zabrała mu broń. Cholera! Zapasową również, co stwierdził już na samym początku. Za to drugi i trzeci zapas został w porzuconym na poboczu samochodzie.

Zmrużył oczy, patrząc na nią znad krawędzi kubka. Co tam broń, bez niej też da sobie radę. Chociaż lubił swojego glocka. Jeden strzał, prosto w głowę i po kłopotcie. Tyle osób wyeksponował na tamten świat właśnie w ten sposób. To był jego swoisty podpis w tej branży. Dokładnie pośrodku czoła, zawsze w tym samym punkcie. Przypomniawszy sobie jedno ze swoich pierwszych zleceń i pojawiło się dziwnie nieprzyjemne

uczucie. Tak, wtedy spartolił sprawę, ale na swoje usprawiedliwienie mógł powiedzieć, że były to początki kariery.

– Ani ukochanej, ani dzieci, ani domu? – zdziwiła się Zuzka.

– Dom mam.

– Niech zgadnę. Beton, stal i szkło?

– Lubię minimalizm.

– Czyli u mnie nie poczujesz się dobrze – odparła zamyślona. Jacob już chciał potaknąć, lecz wpieryw rozejrzył się jeszcze raz dookoła.

– Nie jest tak źle – powiedział w końcu z niechęcią. – Mógłbym pójść spać?

– Już? Żadnego seksu przed snem? – zakpiła, bo miała straszną ochotę znów ujrzeć te iskierki gniewu w błękitnych oczach mężczyzny.

– Nie. Mam do tego wyznaczone dni.

– Że co? – Zuza aż parsknęła herbata. – Dni? Płodne?

– Kumulacja napięcia służy osiągnięciu wyższego poziomu.

– Zaczynam się martwić, że nie tylko nogę uszkodziłeś.

Dobrze panie kumulujący, przygotuję panu posłanie godne wyższego poziomu świadomości – zakpiła. – Tylko musi pan uważać na półeczkę wiszącą nad wezłowiec, bo jak pan przydzwoni w nią głową, to od razu nawiąże kontakt z cywilizacją pozaziemską.

Jacob zacisnął wargi, zastanawiając się, czy złamanie jej karku byłoby odpowiednim posunięciem. Z drugiej strony, musiałby coś zrobić z trupem, a w tę pogodę i w tym stanie, sprawiłoby mu to wiele trudności.

Dobrze, zabiję ją później, postanowił, kuśtykając w kierunku niewielkiego pokoiku, oparty o ramię kobiety. Była

zaskakująco ciepła i miękka. Pachniała czekoladą, trochę wanilią. Apetycznie. A on, gdy przyłapał się na tych myślach, zdrętwiał.

– Dziękuję – powiedział suchym tonem, podczas gdy Zuzka krzątała się po niewielkim pomieszczeniu.

– Proszę. Trochę tutaj nieporządek, ale dawno nie miałam gości, zwłaszcza takich, co zostają na noc.

– Mieszkasz tu sama?

– Tak. A co?

– Nie boisz się?

Po raz pierwszy posmutniała, zgarbiła się w sobie, skuliła.

– Już nie – wyszeptwała. – Postaram się, abyś miał jutro co na siebie włożyć. Dobranoc.

– Dobranoc.

Kiedy wyszła, mgła otulająca miękko umysł Jacoba, rozwiątała się, zniknęła. Znów mógł myśleć jasno, kalkulując na chłodno swoje położenie oraz sposoby wydostania się z tej sytuacji. Zdjął różowy szlafrok i z grymasem odłożył go na fotel. Potem położył się na wznak, nakrył kołdrą aż pod podbródek i zamknął oczy. Zawsze zasypiał w tej pozycji. I prawie zawsze się w niej budził. Za wyjątkiem nocy, gdy śniło mu się tamto. Lecz ostatnio coraz rzadziej nawiedzał go ten koszmar, coraz mniej czuł wyrzutów sumienia.

W zasadzie prawie w ogóle ich nie miewał.

Teraz też zamknął oczy i zaczął odliczać.

Poddał się przy ośmiu tysiącach. Głównie dlatego, że zza ściany słyszał wesoły głos, wyśpiewujący skoczne piosenki.

W końcu nie wytrzymał. Podniósł się, ale zrobił to zbyt gwałtownie, zahaczając głową o nieszczęsną półeczkę... Nie zaklął tylko dlatego, że nie miał tego w zwyczaju. Pozłorzeczył

jedynie w myślach, po czym znów się położył, próbując pokonać narastającą irytację. Tym razem liczenie pomogło i przy pięciu tysiącach, Jacob osunął się w ramiona Morfeusza.

Obudził go zapach. Aromat świeżo parzonej kawy, smażonych jajek i ciepłego pieczywa. Najpierw usiadł, testując uszkodzoną kończynę. Nadal była opuchnięta, nadal bolała, chociaż mniej niż wczoraj. Potem z rezygnacją sięgnął w kierunku, gdzie wczoraj odłożył szlafrok, ale ku jego zdumieniu leżały tam czarne męskie spodnie i czarna koszula. Gospodyni wywiązała się z danego słowa. To nieco poprawiło jego humor i przegoniło załążki irytacji.

Ubierając się, rozmyślał nad własną reakcją. Dlaczego przez ostatnią dobę tak łatwo tracił nad sobą panowanie? Cóż, powodów mogło być kilka. Najpierw zlecenie ze „sprzątaniem”, potem wypadek na drodze, a na końcu ona. No i utrata broni. To chyba najmocniej wyprowadziło go z równowagi.

– Dzień dobry – przywitała go z uśmiechem, wskazując miejsce przy stole.

– Dzień dobry – odpowiedział ze spokojem.

– Dobrze się spało? Noga mniej boli?

– To normalne, idzie się przyzwyczaić.

– Do bólu? – uniosła brwi w górę.

– Także.

– Masochista – mruknęła. Potem umilkła, obserwując jak mężczyzna konsumuje zawartość swojego talerza. Na samym końcu starannie odłożył sztucce, wypił kawę i wytarł usta chusteczką. Wszystko robił w tym samym tempie, z tą samą, obojętną, pozbawioną emocji miną.

I znów powróciła ochota, aby zburzyć ten nadnaturalny spokój.

– Czy mógłbym prosić, abyś zwróciła mi moją broń? – spytał uprzejmie.

– Serio?

– Tak. Nie zabiję cię, jeśli o to chodzi. Zresztą – lekko wzruszył ramionami – gdybym chciał, zrobiłbym to nawet bez broni.

– To do czego tak bardzo jest ci potrzebna?

– Nie lubię się z nią rozstawać – w beznamietnym głosie pobrzmiwały nutki wściekłości. I to wcale nie z powodu utraty glocka. To ona tak na niego działała, jej uśmiech, kpina widoczna w błyszczących, szarych oczach. Ta kobieta irytowała go, rozstrajała, wytrącała z równowagi.

A on nie przywykł do takich uczuć i to dodatkowo go nakręcało.

– Wytrzymasz – wstając, poklepała go po ramieniu. – Jestem lekkomyślna, ale nie aż tak, żeby przebywać w małym domku z obcym, uzbrojonym facetem, podczas gdy dookoła szaleje zamieć śnieżna. Zobaczysz, będzie fajnie. Pogramy w tysiąca albo w monopol – zerknęła do tyłu, przez ramię. – Upieczemy pierniczki.

– Nie gram i niczego nie będę piekł.

– A umiesz robić na szydełku? – Tym razem patrzyła mu prosto w oczy, przygryzając lekko dolną wargę. – To podobno całkiem niezłe relaksuje.

– Nie będę robił na szydełku.

– Nauczę cię.

– Nie będę...

– Zaczniemy od czegoś prostego. Szal na przykład. Będziesz się mógł pochwalić nowym hobby w towarzystwie innych groźnych panów, noszących broń z długimi lufami.

– Nie będę niczym się chwalił. – Na razie wciąż cedził słowa przez zęby, ale kiedy Zuzka żartobliwym gestem potarła jego włosy i głośno się roześmiała, o mało co nie eksplodował. Wstał, może nieco zbyt energicznie, odwrócił się i kolejne słowa zamarzył mu na ustach, bo w jego pierś wbiła się lufa starej dubeltówki.

– Takie cudo jak twoje to nie jest – powiedziała spokojnie. – Ale raczej nie chybię. Wiesz dlaczego? Bo mi się nie podobasz. Niby wyglądasz na zjadacza bezglutenowych pierożków, ale oczy masz okropne, zimne, wyprane z wszelkich uczuć. No, teraz to w nich widać gniew. – Wygrzebała z kieszeni kajdanki i rzuciła na stół, obok zastygłego w bezruchu Jacoba. – Skuj się waćpan, tylko bez sprzeciwu.

– Nie zabijesz mnie.

– Nie? Jesteś pewien? – Jasne brwi powędrowały w górę.

– Jestem pewien.

– Ale kolanko przestrzelę, masz moje słowo.

– Akurat – mruknął, po czym błyskawicznym ruchem chwycił broń, zręcznie się wykręcając i bez wysiłku rozbijając przeciwniczkę. – Daj spokój z kajdankami. Bez problemu się ich pozbędę.

– Serio?

– Tak.

– Pozostaje mi patelnia – westchnęła, a potem się roześmiała. – No dobrze, powiedzmy, że ci wierzę. Odłóż, nie jest nabita – machnęła w kierunku dubeltówki.

Posłuchał. Głównie dlatego, że poczuł się zaskoczony, z jaką nonszalancją potraktowała odebranie sobie broni. Nie okazywała strachu, a rozbawienie, nie była przerażona czy ostrożna, lecz bardziej rozkojarzona.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

